Rok III. Nr. 53.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza drobnego (petit) po 8 centów, za każde następne „ 5 „ należytość stęplową 30 „ za każdorazowe umieszczenie.

AFISZ TEATRALNY.

Rok 1873.

Wychodzi w Krakowie 4 razy w tygodniu w dniu przedstawienia teatralnego.
Cena prenumeraty miesięcznie 50 c.
Numer pojedynczy kosztuje 5 c.
Prenumeratę przyjmują: Administracya *Czasu*, przy ulicy Różannej Nr. 413 i Kasa Teatralna.

Kraków 30 grudnia.

We czwartek w Nowy rok: **Skarby i Upiory** czyli *Trzecia częśc Krakowiaków i Górali* z tańcami układu p. Ekera. Dodane będą liczne śpiewy okolicznościowe, zastósowane do kończącego się roku i mieszczące życzenia na rok przyszły. Z zawieszeniem abonamentu.

Operetka przygotywuje się do *Preciozy* dramatu przeplatanego wspaniałemi a licznemi śpiewami i chórami utworu Webera.

— Dowiadujemy się że Dr Rydel obiecuje pani Hoffman, iż będzie mogła wystąpić na scenie zaraz po *Trzech Królach*, jednak tylko w mniejszych rolach. Znakomita nasza artystka zamierza pierwszy raz wystąpić w *Celinie* hr. Koziebrodzkiego, jednoaktowej komedyi odznaczonej na przeszłorocznym konkursie.

— Odbyła się wczoraj próba czytana z trzech aktowej komedyi p. Bełcikowskiego, odznaczonej na konkursie 1872 r. *Protegowani i Protegujący*.

— Dowiadujemy się że p. Rychter obrał na swój benefis *Lilije z Wawelu* dramat historyczny Juliana z Poradowa autora *Przeora Paulinów*.

— Najnowsza komedya p. Sardou, *Les Merveilleuses*, grana w teatrze *Variétés*, dzieje się za Dyrektoryatu, lecz jest widoczną alluzią do dzisiejszego usposobienia społeczeństwa francuzkiego. Komedya ta która głównie polega na wystawie i excentrycznych toaletach kobiecych, nieco zbyt wygorsowanych z czasów Barrasa, nie utrzymała się.

— Czytamy w *Gazecie Narodowej*:

„Tarnów 20 grudnia. (Straż ochotnicza ogniowa w Tarnowie i A. Siedlecki praestigitator). Niedawno smutną powzieliśmy wiadomość o niepowodzeniu się straży ochotniczej „Sokoła“ we Lwowie; i tutejsza straż ochotnicza omal temu stanowi nie uległa, gdyby nie pełne poświęcenie się zacnego obywatela i r dnego miasta Tarnowa i Rady powiatowej p. Stanisława Szeligiewicza, który dowództwo onej straży objął, instytucyi tej nie poparło. Jemu to zawdzięczyć należy, że straż tutejsza już w sukienne mundury zaopatrzoną została i świetne powodzenie nadal obiecuje.

On to z pomocą swego zastępcy zaprosił do Tarnowa magika z Krakowa p. A. Siedleckiego, który dał przedstawienie na dochód straży ochotniczej ogniowej, kontentując się bardzo małą kwotą za swą pracę i poniesione trudy.

Przedstawienie wypadło świetnie, bo też przemilczeć nie można o zręczności tego sławnego magika, który w mieście naszem po raz pierwszy w języku polskim, całkiem nowe sztuki magiczne z nadzwyczajną elegancyą i zręcznością ku ogólnemu podziwieniu i zadowoleniu przedstawił.

LORENZACCIO.

Ciąg dalszy.

SCENA III.

LORENZO. Czyż jestem szatanem..... Przypominam sobie, że byłbym płakał z pierwszą dziewczyną, którą uwiodłem, gdyby nie zaczęła śmiać się sama.

Przybrawszy na się postać nowego Brutusa, chodziłem w tej obcej dla mnie sukni występku, jak dziesięcioletnie dziecko w zbroi bajecznego olbrzyma. Sądziłem, że zepsucie jest zbrodnią wyciskającą hańbiące piętno, że same potwory noszą ich na swych czołach. Mówiłem głośno, że te dwa lata życia pracy i uczciwości były maską duszącą mnie — o Filipie! wchodziłem dopiero w życie, wierzyłem w zacność ludzi, tymczasem naraz wszystkie maski opadły i ujrzałem, że wszyscy tak żyją jak dziś ja; ludzkość uniosła swoją suknię ukazując mi jako godnemu uczniowi całą swoją nagość i ochydę. Zobaczyłem ludzi takimi, jakimi są w istocie — w tedy pomyślałem: Dla kogo ja pracuję? Przebiegając ulice Florencyi szukałem twarzy, któraby mi dodała odwagi i wytrwania w zamiarze dojrzewającym w moich myślach — pytałem sam siebie, czy choć jeden skorzysta z tego. Widziałem republikanów w swoich gabinetach, wchodziłem do skle ów, słuchałem i śledziłem. Zbierałem rozmowy ludu, uważałem sprawiane na nich wrażenie przez tyranię; piłem na ucztach patryotycznych wino — połykałem łzy wtedy, gdy osła całowały, czekałem ciągle w nadziei, że ludzkość ukaże mi wreszcie coś szlachetnego. Robiłem spostrzeżenia, jak narzeczony nad swoją ukochaną oczekując dnia wesela.

FILIP. Żałuję cię, że widziałeś tylko same złe. Istnieje ono, ale nie bez dobrego, podobnie jak cień nie bez światła.

LORENZO. Tobie się zdaje, że ja pogardzam ludźmi, to nie słusznie. Wiem że są między nami i dobrzy, ale na cóż oni się przydadzą, jaka jest ich działalność? Co znaczy, że sumienie żyje, kiedy ręka zostaje martwą. Jedno tylko widzę jasno, że jestem zgubiony, i że ludzie nie skorzystają z mego czynu i nie rozumią mnie.

FILIP. Biedne dziecię krwawisz mi serce, ale jeżeli jesteś uczciwym, to wyswobodzimy swoją ojczyznę. Opuścisz drogę występku, po której stąpasz teraz. Myśl, że nie wygasł w tobie honor i szlachetność, raduje moje stare lata. Porzucisz to ochydne przebranie szpecące cię i staniesz się znów metalem tak czystym, jak statuy z brązu Harmodiusza i Aristagona.

LORENZO. Zapóźno Filipie, byłem ja czystym ale nim być już nie mogę. Ręka, która raz uznała zasłonę prawdy nie może już jej opuścić, zostaje nieporuszona, trzymając straszliwą i unosząc ją coraz więcej ponad ludzkiemi głowami, dopóki anioł śmierci nie dotknie jej swojemi skrzydłami.

FILIP. Wszystkie choroby dadzą się uleczyć, a występek także jest słabością.

LORENZO. Zapóźno, zapóźno, zanadto przywykłem do mego rzemiosła. Występek był dla mnie szatą kryjącą szlachetny cel, teraz zaś przyrósł do mnie tak, że oderwać go nie można. Jestem w istocie hultaj, błazen, a kiedy żartuję z podalanych mi, czuję się poważnym jak śmierć w pośród wesołości. Zadziwia mnie to bardzo, że Brutus udając szaleńca, chcąc zabić Tarkwiniusza nie stracił naprawdę rozumu. Tak Filipie, ni pracuj dla swojej ojczyzny, skorzystaj tylko z tego, co ja uczynił.

FILIP. Nie, mój Lorenzo, ty przedsięwziąłeś drogę skrytą, niebezpieczną ja wezmę inną prowadzącą do tego samego celu. Gdybym z niej zeszedł, sądziłbym, że niebo zaciemnia się nademną, że na starość skazany jestem chodzić omackiem. Moim zamiarem jest zebrać lud i działać otwarcie.

LORENZO. Strzeż się Filipie, jakąkolwiek obierzesz drogę zawsze będziesz miał do czynienia z ludźmi.

FILIP. Wierzę w uczciwość republikanów.

LORENZO. Zobaczymy. Ja zabiję Aleksandra; wtedy, jeżeli republikanie są tak uczciwymi, jakimi ty ich sądzisz, będzie im bardzo łatwo utworzyć rzecz-pospolitą piękniejszą, jaka kiedykolwiek kwitnęła na ziemi. Niech tylko mają za sobą lud, a wszystko skończone. Ręczę ci jednak, że ani oni, ani naród nie poruszą się wcale. Nie mięszaj się więc w cale. Nie mięszaj się więc do tego Filipie, zaklinam cię;..... jeżeli chcesz, ale strzeż twoich słów, a więcej jeszcze czynów. Zostaw to mnie już, twoje ręce są niepokalane, a ja nie mam nic do stracenia.

FILIP. Czyń, jak chcesz a zobaczysz, co z tego wyniknie.

LORENZO. Dobrze więc, lecz mnie nie przekonasz, chcesz dowodów i na to zdobyć się mogę: Spojrz, wewnątrz tego domku, jaki ogień, przyjaźń widnieje na każdej twarzy, zdawałoby się, że wzajemne poświęcenie się tu nie ma granic; jednakże gdybym uzbrojony narzędzi m śmierci zadał cios najstarszemu najwięcej rokującemu nadziei synowi tego wzorowego ogniska rękę, że nie byłoby ręki nużącej odwet z zaprzaniem się samego siebie.

FILIP. Przerażają mnie twe myśli i nie mogę pogodzić tych pojęć tak sprzecznych w tobie, gdyż cel, który chcesz osiągnąć maluje wielkość twojej duszy, zaś to ostatnie nie osiąga się na takich wzorach.

LORENZO. Dajmy pokój temu — chodźmy dla załatwienia ważniejszej na teraz sprawy, myślę bowiem o uwolnieniu twoich synów.

FILIP. Jedno słowo w tej treści jeszcze. Co cię powoduje przy takich przekonaniach pozbawić życia księcia?

LORENZO. Co mnie powoduje? i ty mnie pytasz Filipie.

FILIP. Twoje przekonania zdają się uważać za bezużyteczną śmierć Aleksandra; dlaczegóż więc chcesz mu ją zadać?

LORENZO. Dlaczego — spojrz na mnie Filipie. Byłem piękny, spokojny, cnotliwy a dziś?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny *Anastazy Mastalski*. W drukarni L. Paszkowskiego w Krakowie. Rządca Drukarni *Józef Łakociński*.

Abonament Nr. 13. Nr. porządkowy 53.

TEATR KRAKOWSKI.

We Wtorek dnia 30 Grudnia 1873 r.

Po raz pierwszy.

Komedya w 4 aktach z niemieckiego R. Benedixa, tłumaczona przez Mieczysława Chrzanowskiego:

NIEPRZYJACIELE KOBIET

czyli

ŚLUBY kawalerskie

OSOBY:

Julia Wyrocka, młoda bogata wdowa — — — —	Panna May.
Ernestyna, jéj przyjaciołka —	Panna Piotrowska.
Mikołaj Wygodnicki, pens. radca sądowy — — — —	Pan Rychter.
Karol Zagrodzki, jego siostrzeniec — — — —	Pan Terenkoczy.
Franciszek Skrzypczyński, dyrektor muzyki — — —	Pan Benda.

Dr. Alfred Prawnicki, adwokat	Pan Szymański.
Pani Kotnicka, właścicielka domu	Pani Ekerowa.
Ludwika, jéj siostrzenica —	Pani Terenkoczy.
Jan, służący w domu Kotnickiej — — — — —	Pan Eker.
Jędrzej, stary sługa w domu Wyrockiej — — — —	Pan Ładnowski.

Rzecz dzieje się w Warszawie.

Cena miejsc zwyczajna. — Początek o godzinie siódmej.